

**„Życie moje dwoistym prądem płynie”.**

**O Zofii Romanowiczównie i jej dziennikach**

Krystyna Poklewska

KRYSTYNA POKLEWSKA  
(Uniwersytet Łódzki)

„ŻYCIE MOJE DWOISTYM PRĄDEM PŁYNIE”  
O ZOFII ROMANOWICZÓWNE I JEJ DZIENNIKACH

„Powinny [...] te karty być zwierciadłem wiernym mego życia, mojej duszy i życia, jakie jest naokoło mnie” – pisała o swoich dziennikach Zofia Romanowiczówna (D2, 193 (1907))<sup>1</sup>. Urodzona w r. 1842, prowadziła je od r. 1860, poprzedziła zaś *Moimi wspomnieniami* obejmującymi dzieciństwo i wczesną młodość. Dzienniki były prywatnym zapisem życia autorki prowadzonym z różną częstotliwością i natężeniem, z przerwą między r. 1869 a 1875. Najobfitsze w latach sześćdziesiątych XIX stulecia, kureczą się następnie do kilku lub kilkunastu notatek rocznie, niejednokrotnie o charakterze pamiętnikarskim raczej niż *sensu stricto* „bieżącym”, diariuszowym. Autorka doprowadziła dzienniki do 1930 roku. Postępująca utrata wzroku uniemożliwiła dalsze pisanie, choć żywa umysłowo Romanowiczówna dzieliła się wspomnieniami jeszcze na dzień przed śmiercią, na początku czerwca 1935<sup>2</sup>. Dzienniki, przeznaczone dla Ossolineum (z którym istotnie przejechały ze Lwowa do Wrocławia), były przygotowane przez Romanowiczównę do udostępnienia i do publikacji. Całe ich fragmenty, uznane za nazbyt intymne, nadmiernie emocjonalne, zrodzone z impulsu chwili, zostały przez autorkę wycięte lub zamazane<sup>3</sup>.

Z początkiem 2006 r. dzienniki ukazały się w postaci dwóch opasłych tomów z pięknymi litografiami dawnego Lwowa na okładkach, w wyspecjalizowanym wydawnictwie, odczytane, opracowane, objaśnione i opatrzone cennym *Aneksem* przez wytrawnego i doświadczonego badacza i edytora, Zbigniewa Sudolskiego.

Zofia Romanowiczówna (31 III 1842 – 3 VI 1935) nie jest postacią nieznaną badaczom literatury, życia społecznego i obyczajów. Od lat sięgano po wiersze z jej panieńskiego sztambucha, po spisane wspomnienia o tych, których znała, po dokumenty z jej prywatnego archiwum. Wydanie dzienników ukazuje jednak Zofię inną niż dziewczyna tańcząca mazura z Grottgerem czy „matuzalowa starszka” (według określenia Stanisława Wasylewskiego) uchylająca drzwi do skarbnicy

<sup>1</sup> Skrótem D odsyłam do wyd.: Z. Romanowiczówna, *Dziennik lwowski 1842–1930*. T. 1–2. Z autografu wydał, komentarzami, biogramami i wstępem opatrzył Z. Sudolski. Warszawa 2005. Pierwsza liczba po skrócie oznacza tom, następne – stronicę (w nawiasie rok zapisu).

<sup>2</sup> Zob. T. Gryf-Kleszczyński, *Zwoleńczka dumań anielskich*. (*W rocznicę powstania styczniowego*). „Bluszcz” 1936, nr 4; przedruk w: D2, 575–577 (*Aneks*).

<sup>3</sup> Zob. *Nota edytorska*, w: D2, 582–585.

cy swych wspomnień. Dzienniki wyznaczają pełny szlak życia Zofii Romanowiczówny wiodący jednocześnie przez przemiany historyczne, obyczajowe, społeczne i przemiany psychiczne, duchowe, w sposobie myślenia i pojmowania świata. Z jednej więc strony, to dziejowy dokument o przeobrażeniach heroiny. Najpierw jest to „utkana” z romantycznej kultury młoda dziewczyna, która spełnia się jako anioł, pocieszycielka, idealna pomocnica i powierniczka mężczyzny. Gdy nie trafia w żadną z przewidzianych przez epokę ról kobiecych (żony, matki, zakonnicy, rezydentki u rodziny), wybiera zawód nauczycielki, wykonywany przez kilkadziesiąt lat „dla chleba” oraz w poczuciu misji narodowej i społecznej, wychodzi na pole działalności kobiecych stowarzyszeń emancypacyjnych i niepodległościowych. Ze strony drugiej, to dokument wewnętrznego życia. Marzenia o miłości i miłosne rozczarowania, wahania amplitudy religijności i wiary, radości doznanej przyjaźni i życzliwości, gorczyce samotności i niezrozumienia. Życie zapisane od strony zewnętrznych zdarzeń i od strony wewnętrznych doznań: oto dzienniki Romanowiczówny.

Panna Zofia Romanowiczówna, osierocona w dzieciństwie przez ojca, szanowanego i wziętego adwokata lwowskiego, należała od wczesnej młodości do niewielkiego, elitarnego środowiska inteligenckiego Lwowa, ściśle odgraniczzonego od środowiska mieszczańskiego – kupców, rzemieślników, przedsiębiorców – bliskiego zaś z racji wykształcenia i poziomu kultury ziemiaństwu. Po śmierci ojca rodzina znalazła się w trudnych warunkach materialnych, gdyż źródłem utrzymania stał się niewielki kapitał powierzony stryjowi Julianowi i wujowi Eminowiczowi. Młodszy brat Zofii, Tadeusz, ustabilizował się dopiero po 1870 r. jako dziennikarz i redaktor, urzędnik, poseł i polityk w autonomicznej Galicji. Taka sytuacja powodowała niedostatki pieniężne dotyczące nawet jedzenia i „szmatek”, wymagała zaciągania pożyczek, wynajmowania części mieszkania na stancje dla uczniów z prowincji. Zdecydowała też o tym, że Zofia od 15 roku życia zarabiała, sama będąc uczennicą, ucząc młodsze dziewczynki. Uczyla zaś wszystkiego: gramatyki niemieckiej, muzyki, języka francuskiego i – z największym zapałem – historii Polski. Tej uczyła bezinteresownie, szerząc wiedzę o niej wśród ludu i służby, prostując różne „dzikie wyobrażenia” (D1, 106 <1860>). W roku 1862 wyprosiła sobie w szkole prowadzonej przez ormiańskie zakonnice „pozwolenie opowiadania dzieciom historii polskiej [...] co soboty na godzinę” (D1, 191 <1862>), w 1866 rozpoczęła „poobiednią naukę historii polskiej z młodymi dziewczętami mieszczańskimi” (D1, 397 <1866>). Przykładów było więcej. „Praca cicha, użyteczna”, o której niewiele się pisze, stanowiła zasadę Zofii, choć ta cichość łamana była nieraz w dziennikach narzekaniami na uciążliwość trudu nauczania, ubolewaniami nad lenistwem i brakiem zdolności wychowanek (choć zdarzały się także radości z sukcesów). „Drobne zdarzenia dnia” nużyły i męczyły młodą dziewczynę, która zarobkową pracę nauczycielską uważała (z wyjątkiem uczenia historii Polski) za ofiarę składaną na ołtarzu codzienności, za daninę na rzecz wymagającej (i rzadko z córki „kontentnej”) matki i brata. Panna Zofia żyła przekonaniem, że prawdziwym jej zadaniem jest spełnienie misji chrześcijańskiej i patriotycznej zarazem, zjednoczenie wiary i wolności w wielkim wysiłku na rzecz Polski wyzwolonej i odrodzonej.

Romanowiczówna chciała być aniołem, tak jak świętą i aniołem była dla niej zawsze Felicja Wasilewska-Boberska, przełożona pensji dla dziewcząt, nauczycielka i przewodnicząca duchowa, tak jak świętymi i aniołami bywały przyjaciółki i znajome. Między rówieśnicami istniała rywalizacja w „duchowości”, w ujawn-

nianych (w pisanych i porównywanych dziennikach) staraniach o doskonałość, w dążności do realizowania cnót ewangelicznych. Jest bowiem w tamtych, około-powstaniowych latach pewnikiem, że kobieta winna być duchem wyższym, pośredniczką między Niebem a Ziemią. Zofia pilnie notowała wszelkie nazwania jej aniołem: „Ty nie człowiek, tyś Anioł” z wyznania uczennicy (D1, 116 (1860)), „Igną do Ciebie smutni i biedni, boś dobra, czysta, biała, boś Anioł” (D1, 342 (1866)) z rozmowy z przyjaciółką, zdanie Ludwika Wolskiego, że jest „z rzadkich istot, jak Słowacki się wyraża, »opętanych przez aniołów«” (D1, 93 (1860)), i zdanie Mieczysława Romanowskiego o anielskim zapatrywaniu się na świat i przynależności do „grona aniołów” (jak Maria Malczewskiego) (D1, 106 (1860)). Marzenie o zrealizowanym anielskim świecie pojawiło się w zapisanym śnie Zofii:

śnił mi się jakiś śliczny krzew w wazonku, cały okryty białym kwiatem, ale na tym kwiecie leżała niby mgła jakaś, która mu przeszkadzała być śnieżnobiałym i robiła nieopisanie smutne wrażenie. Kwiat drżał niby od zimna. Na tym był napis: „Tak dusza, gdy wszystko przetrwa i zostanie wierną, znikną te cienie, to zimno – będzie białą, mocną, jasną, będzie Aniołem”. Przeczytawszy ten napis, uniesiona, zerwałam wszystkie kwiaty, na to ktoś się odezwał: „Będziesz Aniołem”. [D1, 348 (1866)]

To, oczywiście, poeci romantyczni: Malczewski, Słowacki, Krasiński, stworzyli tak wysublimowany ideał kobiety. Ale ten ideał to również konsekwencja głębokiej religijności panny Zofii.

Jaka to religijność? Bardzo indywidualna, wcale nie katechizmowo-kościelna, choć Romanowiczówna przestrzegała zasad moralnych chrześcijaństwa i rytuałów katolicyzmu. Udział w mszach, serdeczne modlitwy przed ołtarzami, staranny dobór dobrych spowiedników, częste przyjmowanie komunii, przynależność do religijno-patriotycznego Stowarzyszenia Św. Michała i Św. Anny (1861) i (po powstaniu) do Bractwa Św. Józefa (z obowiązkiem dobrego uczynku we środy i codziennego odmówienia *Zdrowaś, Mario*) to nie najważniejsze objawy religijności Romanowiczówny. Bóg był stale obecny w jej dziennikach, towarzyszył pisaniu o sobie i o innych, o świecie. Zofia toczyła z Nim rozmowy oskarżając się i usprawiedliwiając, modliła się doń własnymi słowami, zwracała się z licznymi apostrofami. Życie było dla niej pasmem udręk, bólu, cierpienia. Skarżyła się:

Boże mój, i jeszcze każesz cierpieć? cierpieć tak strasznie?... Boże, Boże – mnie już sił nie staje, łez nie staje. Ty wiesz, że ja życie moje dotąd przeboleła, przemęczyła, a gdy trochę spocznę, gdy jeden jaśniejszy promyk zabłyśnie, to pewnie zaraz padną nowe gromy. [D1, 325 (1865)]

Zofia buntowała się niekiedy przeciw niewoli życia, które musiała prowadzić („Cóż okropniejszego, jak wiecznie robić to, czemu sprzeciwia się duch mój?”), lecz odsuwała te „dziecięce skargi”, bo przecież „naród boleśniej się skarży” (D1, 109 (1860)).

W modlitwach i apostrofach do Boga zapisany był ból świata, ból narodu i ból istnienia towarzyszący młodej Zofii, bunt przeciw łamaniu „dążeń ducha” przez codzienne „roboty”, świadomość pragnienia szczęścia nie do pogodzenia z obowiązkami względem „mamuńci” i innych (D1, 152 (1861)). Ostatecznie jednak wiara i wypływająca z niej modlitwa przynosiły Zofii uspokojenie i zgodę na ciężki los i wszelkie nieszczęście. Bóg był opieką i ostoją, umocnieniem w decyzjach wbrew sobie, pocieszeniem w smutkach i cierpieniach; był Przyjacielem, który pomagał unieść życie i pokonać siebie, ale i Sędzią, ferującym wyroki: „Więc

módlmy się, żeby Bóg nie odmówił nam łaski swojej, a z nią przejdziemy czysto i święcie przez życie i wytrwamy do końca” (D1, 65 (1860)).

W 1860 roku na pogrzebach weteranów walk narodowych i w kościołach Lwowa rozbrzmiewały coraz częściej *Chorał* i *Boże, coś Polskę...* Z Warszawy dobiegały wieści o krwawo tłumionych antyrosyjskich demonstracjach. Panna Zofia uczestniczyła we lwowskich – nieśmiały i zakazywanych przez władze austriackie – manifestacjach solidarności z Warszawą. Egzaltowana i rozedrgana, historycznie przyjęła wiadomość o zawiązaniu we Lwowie konspiracji wolnościowej, następnie zaś zwróciła się do Boga modlitwą o „krzyż i miecz” (D1, 91–92 (1860))<sup>4</sup>. Jej patriotyzm był mesjanistyczny, odzyskanie narodowej wolności i suwerenności kraju przedstawiane było zawsze w romantycznych kategoriach odrzucenia kamienia grobowego i zmartwychwstania, wiązało się z przeanieleniem Polaków, powszechnym cudem uzyskania doskonałości moralnej. Patriotyzm przedpowstaniowy Romanowiczówny czerpał siły z przekonania o czujnej i sprawiedliwej Opatrzności Bożej: „kiedy po naszej stronie niebo jasne, a po tamtej piekło otwarte, to za kimże Bóg będzie?” (D1, 257 (1863)).

Wybuch powstania nie przyniósł jednakże błysku cudu. Być może, zawód w tej mierze, zwyczajność wiadomości o reakcji na zapowiedzianą branke, nieporadność pierwszych prób włączenia się do walki mieszkańców Galicji i organizowania pomocy sprawiły, że panna Zofia nie zareagowała na powstanie w sposób jej właściwy: entuzjastycznie. Po prostu włączyła się w nurt wspierających powstanie działań. Napisała odezwę *Do Polaków i Polek na wieść o powstaniu* (niezachowaną), współuczestniczyła w darciu szarpi na opatrunki, w produkcji nabożów, w organizowaniu loterii i innych akcji zbierania funduszy na rzecz powstańców. Brała (zapewne) udział w przekazywaniu konspiracyjnej korespondencji, w akcjach na rzecz uwięzionych, o czym jednak, zobowiązana do powstrzymania „tak szkodliwej sprawie narodowej gadatliwości”, milczała<sup>5</sup>. Przez tydzień pracowała w lazarecie wojskowym: „Służyłam rannym, pracowałam dla nich, a to takie szczęście” – zapisała (D1, 283 (1863)). Rzadki to wypadek, by słowo „szczęście” pojawiło się w dziennikach! W czasie powstania, odnotowując pożegnania z bratem i bliskimi znajomymi (jak z Mieczysławem Romanowskim), wieści o rannych i poległych, a następnie o aresztowanych, internowanych i deportowanych panna Zofia przede wszystkim cierpiała, zarzucając Boga afektowanymi skargami na ich los i na okrucieństwo zaborców. W roku 1861 zanotowała myśl: „Zdaje mi się, że mogłabym się dziś stać Platerówną” (D1, 171 (1861)). W miesiącach powstania zbierała wiadomości o kobietach w oddziałach powstańczych, ale nie podejmowała prób „męskich” form walki. W zapisanej scenie pożegnania oddziału brata pozostała z innymi paniami po „żeńskej” stronie granicznej Tanwi:

<sup>4</sup> *Krzyż a miecz* to tytuł wiersza K. Ujejskiego z mesjanistyczną wizją Polski – Bożej wybranki – przez cierpienia prowadzonej ku wolności. Wiersz drukiem ukazał się w wyd. 3 *Skarg Jeremiego* (Lipsk 1862). Romanowiczówna znała go z rękopisu lub z przekazu ustnego.

<sup>5</sup> *Pismo Wydziału Miejskiego organizacji narodowej do obywatela naczelnika okręgu*, datowane: Lwów, 9 XII 1863. Cyt. z: *Galicja w powstaniu styczniowym*. Przedmowa S. Kieniewicz. Wrocław 1980, s. 223. W *Cieniach Z. Romanowiczówny* (Lwów 1930) tylko wstrzemięźliwa wzmianka: „przy [...] sławnej ucieczce z więzienia” Tytusa Zienkowicza, naczelnika miasta z ramienia Rządu Narodowego, „byłam jedną z aktorów, w skromnej, niewielkiej roli, ale byłam”, przedrukowana w: D2, 499 (*Aneks*).

Na pożegnanie chłopcy nasi drodzy zaśpiewali nam *Jeszcze Polska nie zginęła!*, a potem marsz obozowy *Co za gwar*, wśród którego maszerować zaczęli. – To było cudowne! – Dusza się rozjaśnia na ten widok. O! Boże dobry! błogostaw im! [D1, 271 (1863)]

Tradycyjny podział ról został ściśle zachowany. „Oni” to cudowni i mężni chłopcy idący w żołnierski bój o wolną Polskę. „My” to ich dobre i opiekuńcze anioły, opatrzące rany i wspierające modlitwą na ziemi wyłączonej z wojennej zawieruchy.

Była panna Zofia osobowością złożoną, niełatwą do zrozumienia i zaakceptowania przez otoczenie, niełatwą do zrozumienia i zaakceptowania przez dzisiejszego czytelnika dzienników. Niezmiernie wrażliwa na to, co mówili o niej inni, łatwo urażał ją krytyczny, ironiczny czy złośliwy sąd o niej. Jednocześnie nie szczędziła słów prawdy (ze swojego punktu widzenia) tym, którzy postępowali niewłaściwie i niegodnie, przez co nierzadko ściągała na siebie obrazę. Pannę Zofię raziła wszelka pospolitość, eksponowana cielesność, rubaszny humor. Z odrazą oglądała cyrkowych komediantów, „drobne dziewczątka z zalotnym uśmiechem tańczące z wuczoną gracją na koniach, rzucające się w objęcia młodych mężczyzn, śmiałe i rozkoszne z okłasków [...] publiczności” (D1, 53 *Moje wspomnienia [...]*). Z niesmakiem pisała o przyjaciółkach rozbawionych na balu reductowym zaczepkami kawalerów i komentujących widok „prawie nagich mężczyzn” nad stawem (Zofia zapisała tu swoją reakcję: „Krzyknęłam i zakryłam oczy rękami”, D1, 82 (1860)).

Oglądane na scenie sztuki teatralne odbierała Romanowiczówna w sposób bezpośredni, postacie i sytuacje budziły w niej wstręt lub sympatię, wywoływały łyzy współczucia lub odruch odrzucenia. „Balladyna straszna jest” – pisała po lwowskiej prapremierze dramatu, skupiając uwagę na postaci „Alinki”, „czystej i pięknej” (D1, 192 (1860)). Porównana przez Szujskiego do Kornelii, sięgnęła po Szekspira, by odkryć w nim „mistrza w ironii i bólu” (D1, 288 (1863)), przyznać rację obrazowi złego świata i – wybuchnąć skargą-modlitwą o przeanielenie zbiorowości.

Marzenie o doskonałości anielskiej, dążenie do doskonałości anielskiej czyniły z panny Zofii osobę niezmiernie serio (i chyba – do czasu przynajmniej – bez poczucia humoru), pragnącą zawsze mieć do czynienia z ludźmi nie skażonymi małością i grzechem. Niezmiernie przeżywała odkrywane późno rewelacje o zdradach małżeńskich, nielojalności w przyjaźni, o wszelkich ludzkich nieuczuciowościach. Jeśli wierzyć zapisom dzienników, prowadziła rozmowy towarzyskie na niezwykle wyżynach poetyckiej wzniosłości, będące wyrazem życia w idealnej krainie ducha, co wręcz niepokoiło młodych ludzi z jej kręgu towarzyskiego (Romanowskiego, Szujskiego, Ludwika Wolskiego), którzy egzaltowaną, koturnową, bezcielesną pannę starali się sprowadzić na ziemię. 19-letnia Zofia pisała o sobie łącząc krytycyzm z dumą:

Czemu ja nie mogę być tak jak inni, którzy i cierpią c z a s e m, i walki przechodzą w danych chwilach, i nieraz ciężkie może próby, ale w życiu codziennym, zwyczajnym, zwyczajni są: świat ich bawi, zabawa cieszy, drobne dotknięcia przechodzą niepostrzeżone. – A ja?... czemu u mnie nie ma dnia bez przejść najrozmaitszych, czemu każda drobnostka przybiera olbrzymie rozmiary, nic nie przejdzie koło mnie nie zostawiwszy wrażenia, nic nie jest mi obojętne, jedno ogniem, drugie lodem dotyka... [...] Tylko Pan niewyczerpany w dobroci swojej, gdy już wiele wycierpię, zsyła mi łaskę [...] [...] i tak mi anielsko, błogo, tak czuję wtedy wielkość naszego przeznaczenia i życia wiecznego! [D1, 132 (1861)]

We wnętrzu: cierpienie, powołanie, rozmowa z Bogiem. Na zewnątrz: panna



na wydaniu, obecna stale w towarzystwie lwowskim: w prywatnych domach, na koncertach, w teatrze. Romanowiczówna uczestniczyła w balach i wieczorkach tanecznych, w wieczorach poezji (na których sama deklamowała wiersze ze *Skarg Jeremiego* i z *Melodii biblijnych*) i spotkaniach muzycznych w domu państwa Wildów i w Towarzystwie Muzycznym. Spotykamy ją na otwartych posiedzeniach naukowych Ossolineum, na publicznych odczytach Felicji Wasilewskiej-Boberskiej o literaturze polskiej, na mszach żałobnych za Lelewela, Czartoryskiego, Borelowskiego. Często bywała w teatrze i na amatorskich przedstawieniach, odnotowała m.in. lwowskie premiery dramatów Słowackiego. Z „wysokich” rozmów o ojczyźnie i poezji zrodził się projekt amatorskiej realizacji *Lilli Wenedy*, w której rolę Lilli miała grać panna Zofia. „Pani powinnaś grać Lillę – nikt inny” – powiedział jej Szujski (D1, 185 (1862)). Do realizacji nie doszło, ale do dramatu wróciła Romanowiczówna nieco później, inicjując czytanie tekstu na głosy w czasie wakacji w Węldziru i zachowując dla siebie tekst Lilli.

Anioł, Kordelia, Lilla Weneda. Panna zanurzona od stóp do głów w romantycznej kulturze kreowała siebie na wzór romantycznych postaci, w zgodzie z romantyczną poezją kształtowała wyobrażenia o świecie. Romanowiczówna w dziennikach po wielokroć pisała tekstami Słowackiego, Krasińskiego, Malczewskiego, Mickiewicza cytując je z pamięci, niedokładnie, bez zaglądania do książki. Tak było z *Przedświtem* i *Psalmami przyszłości*, tak z *Odą do młodości* i balladami, tak z *Marią*, tak z *Lambrem*, *W Szwajcarii*, *Anhellim*. Gdy dowiedziała się, że jakąś „bladoróżową różyczkę, bardzo uroczą” nazwano jej imieniem, przypomniały jej się „smutne słowa Kordiana” (D1, 231 (1862)). Wiele czytała sama, część romantycznych utworów poznała w czasie wspólnych towarzyskich lektur. Tak było z *Beniowskim*, *Irydionem*, jakimiś tłumaczeniami z Byrona (zapewne Pajgerta). Fragmenty dzienników były trawestacjami romantycznej myśli mistycznej i mesjanistycznej: o konieczności heroicznego czynu indywidualnego i zbiorowego, o celowości ofiarowania się jednostki i społeczności, o idei poświęcenia się i podporządkowania celowemu planowi Opatrzności. Romantyczna koncepcja człowieka i transcendentna koncepcja historii były w młodzieńczych dziennikach stale widoczne.

Najwyższe powołanie jednostki stanowiło – zgodnie z romantycznym osądem panny Zofii – bycie poetą. Tej męskiej formy używała, pisząc o swoim największym – i niespełnionym – marzeniu<sup>6</sup>. Miała pozostać „poetą bez pieśni” (D1, 346 (1866)), choć próby pisania (i tłumaczeń) podejmowała i mile przyjmowała zachęty do pisania „jak Gabriella” (Żmichowska). Zamiłowana czytelniczka romanów, czytała chętnie powieści pisane przez kobiety-emancypantki: Frederikę Bremer, George Sand, Charlotte Brontë, do której bohaterki, Jane Eyre, zapewne z racji dostrzeżonej analogii postawy moralnej i sierociego losu, starała się „być [...] podobną” (D1, 362 (1866)).

Wysokie wzory, wysokie wloty, wysokie progi. A równoległe z nimi codzienna praca zarobkowa i społeczna wymagająca pokonania nieśmiałości (a nawet zdobywania się na odwagę), inicjatywy i aktywności. O pracy nauczycielskiej we wczesnej młodości panna Zofia pisała niewiele. Uderza natomiast mnogość wzmianek o różnorodnych przedsięwzięciach społecznych, oświatowych, charytatywnych.

<sup>6</sup> Słowo „poetka” pojawiło się dopiero w odniesieniu do Marii Bartusówny, w 1875 roku.

Wymieńmy niektóre. Wszystko zaczęło się na pensji Felicji Wasilewskiej-Boberkiej, z której inicjatywy powstało wśród uczennic towarzystwo Klaudynek (od imienia Klaudyny Potockiej, emigracyjnej działaczki patriotycznej), wzajemnie (jak pisała Zofia) rozwijających swe umysły i serca, szukających wyższych celów w miłości do Boga i ludzi, w służbie dla ojczyzny i w patriotycznych powinnościach. Klaudynki rozpoznawały się po czarnych krzyżykach. Otrzymanie krzyżyka było wyróżnieniem, świadectwem wybrania. Jak się wydaje, obok Klaudynek powstało kilka mniejszych kółek, mających na celu bądź (jak Towarzystwo Maryi) wspieranie biednych zaoszczędzonymi grajcarami, bądź doskonalenie wewnętrzne. Rok 1859 przyniósł inicjatywę nakłaniania panów do zaprzestania palenia cygar; miało to służyć zdrowiu fizycznemu, kształceniu charakteru, pieniądze zaś zamiast trafiać do austriackiego monopolu – miały być przeznaczone na dobre polskie książki. Panna Zofia wymusiła na kilku znajomych panach przyrzeczenie niepalenia i niezmiernie silnie reagowała na złamanie słowa. Na widok zaprzysiężonego z cygarem „śmiejch gorzki rozległ [...] [jej] się w duszy, w sercu zapiekł boleśnie ten zawód nowy” (D1, 195 <1862>). Następne przedsięwzięcia były bardziej dojrzałe: Zofia promowała lekturę „Dzwonka”, pierwszego galicyjskiego pisma dla ludu. Wręczała egzemplarze pisma służącym w mieście i chłopom napotkanym w czasie wiejskich wakacji, tam gdzie się to udało, urządziła wspólne czytanie i zachęcała do prenumeraty<sup>7</sup>. Oświata ludu związana była stale z pamięcią o rzezi galicyjskiej – wyniku ciemnoty i braku świadomości narodowej chłopów, była *condicio sine qua non* przyszłego zbrojnego i zwycięskiego powstania. Zabrała się więc Romanowiczówna do zbierania funduszy na stypendia dla chłopskich dzieci (1862); wkładała w nie własne pieniądze, wymuszała je na znajomych, w tym większą sumę na Kornelu Ujejskim. W efekcie rozpoczął naukę we Lwowie Antoś Maślanka z Zubrzy, który po latach przyszedł z wizytą do Zofii jako „pełen wartości człowiek” (D2, 258 <1915>). Współorganizowała też Romanowiczówna czytelnie ludowe na prowincji, do których wysyłała książki. „Książki za pieniądze przeze mnie zebrane i wybrane przeze mnie” – pisała o nich (D1, 191 <1862>). Współtworzyła też czytelnie niedzielną dla rzemieślników we Lwowie. Podejmowała wielokrotnie trud bezinteresownego uczenia dzieci, jak ten w r. 1866, gdy wraz z przyjaciółką zgromadziła „10 biednych dziewcząt”, o których pisała: „we środę i w niedzielę uczymy [je] czytać i pisać, historii świętej i polskiej” (D1, 353–354 <1866>).

To nie miłosierna „dobra pani” prostowała drogi bliźnich i pochylała się nad małuczkami. To dzielna dziewczyna, która obrała „życie pracy ciągłej, usilnej nad sobą i nad drugimi” (D1, 118 <1860>) i która takie życie prowadziła niejednokrotnie kosztem wyrzeczeń materialnych (sama bowiem borykała się z niedostatkiem) w przekonaniu, iż rzeczą najważniejszą jest świadomość tego, jak napisała: „ż e m potrzebna komuś do życia, że dobrze robię” (D1, 270 <1863>).

Brakiem odczuwanym dotkliwie przez Zofię nie był niedostatek materialny, ale brak czułości i uczucia. „Mamuńcia” była trzeźwa, praktyczna i chłodna, nie akceptowała intymnych gestów, wyznań, bliskości i przytulania się. Młodszy brat Tadeusz, niezmiernie przez siostrę kochany, zwierzał jej się, co prawda, ze swych

<sup>7</sup> Latem 1861 napisała dla „Dzwonka” *Legendę dla ludu* i zamierzała pisać więcej (D1, 153–154 <1861>).



kolejnych fascynacji pannami, ale do prawdziwej zażyłości między rodzeństwem nigdy nie doszło. Lata młodości Zofii, lata gotowości do serdecznej miłości prowadzącej do małżeństwa, to lata mijania się panny i kawalerów. Zofia nie aprobowała tych skłonnych do narzeczeństwa i ślubu (a byli wśród nich wieloletni „stajający się”, jak Józef Zienkiewicz „z nieszczęsną twarzą”, Wojciech Wasilewski, Władysław Wolski), ci zaś, którymi zainteresowała się, odchodzili lub nie odpowiadali wzajemnością. Pierwszy ukochany, ukryty pod monogramem B. S., poznany przez nią w wieku 13 lat, został po trzech latach despotycznie odprawiony przez „mamuńcę”, „bo za młody, za bogaty, zbyt marzący, a niepraktyczny, zarozumiały” (D1, 41 *Moje wspomnienia [...]*). Pozostały egzaltowane uczucia do przyjaciółek i sympatia ku starszemu od Zofii o lat 30 Edwardowi Hoszowskiemu, który będąc skądinąd praktycznym ziemianinem i zapobiegliwym gospodarzem w Węldziru, dostrajał się do wysokiego tonu panienki, nie przekraczając granic bezinteresownego uwielbienia.

Pod koniec 1863 r. pojawił się w życiu panny Zofii mężczyzna, który miał stać się jej wielką i zawiedzioną miłością: Bolesław Lutostański, medyk z warszawskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, w podziemnym państwie polskim naczelnik policji narodowej we Lwowie<sup>8</sup>. Krótka znajomość z Lutostańskim przeobrazić się miała w uczucie dopiero po jego uwięzieniu, a następnie przymusowej emigracji. Wtedy to mnożyć zaczęły się zapisy o minionych spotkaniach (na jednym „pisał mi receptę na ból zębów”), o rozmowach, z których nieomylnie (według Zofii) wynikała miłość. „Przed dwoma laty – o! ja nie mogłam się mylić [...], wtedy – on mnie kochał” – pisała (D1, 326 *(1865)*). Ukochany jawił się w snach panny, która wielokrotnie powtarzała sobie, że ich wzajemne uczucie nie było złudzeniem, składała obietnice czekania i wytrwania, podczas gdy zachowanie się Lutostańskiego (to już chłodny komentarz czytelnika dzienników) nie wskazywało ani na uczucie wobec Zofii, ani na poczucie zobowiązań wobec niej. Listy pisane przez niego do brata i matki Romanowiczówny miały charakter towarzyski, choć Zofia chciała zobaczyć w nich siebie jako utajoną adresatkę: „Czy doprawdy tym listem [do Tadeusza], tą fotografią on chciał mi tyle powiedzieć?... Czy może

<sup>8</sup> Wydawca *Dziennika lwowskiego* podał (i konsekwentnie tę lekcję utrzymał), że pod inicjałami B., B. L., zaimkiem „on” i imieniem „Bolesław” ukryty został – nie wymieniony z nazwiska w zapisach Romanowiczówny – Bolesław Longchamps. Rzecz w tym, że w pokoleniu Romanowiczówny żaden Bolesław Longchamps pochodzący z Warszawy, przyjaciel Asnyka (co *Dziennik* wielokrotnie podkreślał), nie istniał, nie istniała też wówczas warszawska linia rodziny Longchampsów. Świadczą o tym biografie Longchampsów (de Berier) w *Polskim słowniku biograficznym* (t. 17 *(1972)*) oraz pamiętnik B. Longchamps de Berier (*Ochrzczony na szablach powstańczych. Wspomnienia (1884–1918)*). Oprac. W. Suleja, W. Wrzesiński. Wrocław 1983). „Personalny” błąd wydawcy jest oczywisty. Inicjały ukochanego Romanowiczówny i podane wiadomości o nim zgadzają się natomiast z biogramem Bolesława Lutostańskiego autorstwa A. Kottówny i J. Lisiewicza w *Polskim słowniku biograficznym* (t. 18 *(1973)*). Według *Dziennika* to młody lekarz, działacz podziemnego państwa polskiego we Lwowie, uwięziony i skazany przez władze austriackie w roku 1864. Po ucieczce z więzienia (biogram w *Słowniku* podaje, że uwolniony dzięki amnestii) mieszkał w Monachium (o tym tylko w *Dzienniku*) i w Heidelbergu, gdzie ukończył studia medyczne. Po powrocie do kraju (w 1867 lub 1868 r. – *Dziennik* i biogram nie są tu zgodne) osiadł w Krakowie, tam ożenił się w 1869 r. z Pauliną Junoszą-Śliwińską (nie: Śleszyńską, jak odczytuje inicjały Ś., Śl. w *Dzienniku* jego wydawca). Wzmiankę o Lutostańskim zamieściła Romanowiczówna w *Cieniach* (przedruk w: D2, 499 *(Aneks)*) i w opracowanym przez siebie zbiorze *Tadeusz Romanowicz. Listy i wspomnienia* (Lwów 1934; tu błędnie podała nazwisko: Lutostawski).

mu to nie w głowie, a ja sobie tylko roję?” – zapytywała (D1, 364 <1866>), układając swój romans. Kochając i czekając Zofia zachowywała się dość biernie, licząc na to, że listy matki, brata i przyjaciółek doprowadzą do deklaracji miłości, na którą była gotowa z ogromną wzajemnością odpowiedzieć. Ten romans, w dużej części wyimaginowany, zrodzony z marzeń panny Zofii, zakończył się dramatycznie: powrót ukochanego do Galicji nie przyniósł nawet spotkania i zaowocował szybkim małżeństwem – z inną. Pannie Zofii pozostało pragnienie świętej, wspólnej pracy – razem (D1, 243 <1863>) – i miłości. Pisała:

Pragnienie miłości tak silne, ogromne! I zdaje mi się czasem, że pierwszy, który by mi to powiedział, ma moje serce..., a czasem znowu tak mnie odpychają ci codzienni, że ani pomyśleć... Ale wielkiej duszy, wielkiej miłości... a! wtedy bym była nową istotą, zdolniejszą [do] doskonałości, i wszystko bym znosić umiała, gdyby to jedno, to Niebo na ziemi... [...] Czemuż i na co Bóg wlał mi w pierś taką potrzebę tego, jak kwiatu potrzebę słońca i rosy? [D1, 262 (1863)]

To marzenie o wielkim uczuciu miało powracać do późnych lat życia Romanowiczówny.

W kręgu aniołów, do którego dołączyć chciała Zofia, nie było miejsca na zwykłą, codzienną, ziemską miłość. „Powój wiotki, owinięta około jego serca, oparta na jego ramieniu, dopiero bym żyła” (D1, 328 <1865>) – pisała, nie dostrzegając ani innych poza duchowymi więzów, ani domowych i rodzinnych obowiązków jako konsekwencji małżeństwa. Te znajdowały się poza anielskimi aspiracjami. Romantyczna kultura ukształtowała pragnienie jedynej i wielkiej miłości, równocześnie zaś tak ją uwzniosliła, że wyrwała z wszelkiej cielesności, fizycznego kontaktu, erotyzmu (nawet w snach). „Tragikomiczna” (jak oceniła ją z dystansu) historia miłości Zofii zamykała jej młodość, początkowała nowy etap refleksji nad życiem i pojmowaniem życiowych zadań. Niewątpliwie właśnie druga połowa lat sześćdziesiątych przyniosła przełom w świadomości Zofii, w wyobrażeniach o relacjach między nią a społecznością, nią a realnym światem i życiem, między nią a Bogiem. Są to lata po klęsce zrywu niepodległościowego i represjach zaborców, lata żegnania się z nadzieją wzajemnej miłości i szczęśliwego małżeństwa, lata wtargnięcia w życie Zofii homoseksualnej przyjaciółki Stefanii W.<sup>9</sup> Wynikiem doznań i przeżyć stała się przemiana „wiary dziecinnej”, której podwaliną było przekonanie o sprawiedliwym i harmonijnym porządku Bożym panującym na ziemi, rozdzielającym upomnienia i łaski, kary i nagrody wedle ludzkich zasług i starań – tu, teraz i zaraz. W dziennikach Romanowiczówny pojawiło się pojęcie ironii, rozumianej jako ironia życia, niewspółmierności ludzkich zamiarów i dążeń wobec twardej rzeczywistości, sprzeczność między wielkością i wzniosłością indywidualnych przeżyć i marzeń a potoczną codziennością realnego życia, między złudzeniem a prawdą, zamiarem a spełnieniem.

W pustkę po straconych złudzeniach, w rozpacz Zofii weszła wówczas, demonicznie przedstawiona w dziennikach, Stefania z zaborczą, ekspansywną, ho-

<sup>9</sup> Pojawiła się ona jako Stefcia, pani W., Stefania W., Stefania, W., Wechslerowa. Rzadko występujące nazwisko nie pozostawia wątpliwości co do osoby. Tak jak sama Romanowiczówna chciała upodobnić się do Jane Eyre, tak czytelnik ulega tu pokusie zestawienia homoerotycznego epizodu Zofii i Stefanii z opowieścią J. Sheridana Le Fanu *Carmilla* (z opublikowanego w r. 1872 tomu *In a Glass Darkly*), w której naiwna bohaterka-narratorka Laura opowiada o doznaniach przyjaźni z demoniczną wampiryzką Carmillą.

moerotyczną przyjaźnią. Przygoda lesbijska Zofii, „pogańska przyjaźń czy miłość” (D1, 596 (1880)), nie została więcej powtórzona. Opisana w kilka lat po zdradzie Stefanii, powracająca we wspomnieniach, nie utraciła dramatyczności, występowała zawsze *fortissimo* w tonacji bólu, zawodu, zdumienia z racji zadziwiającego Zofię przebiegu epizodu. Wdarcie się przyjaciółki w sfery intymności psychicznej i cielesnej, jej pozbawione skrupułów odejście do innej przyjaźni, stało się jednym z filarów przeobrażonej, indywidualnej wizji świata. Świętość miała w nią wstępować w momentach duchowych i religijnych wzniesień: po przyjęciu komunii, po silnie przeżytym nabożeństwie, po natchnionej modlitwie. Poza sferą *sacrum* były codzienność i rzeczywistość rządzone przez ironię.

Miłość i poezja zanosły [mnie] gdzieś na jakimś niedostępnym obłoku, a dokoła pustynia. Wszystko suche i zimne, ciężkie jak kamień. Moje życie codzienne ironią tego, co na dnie mojej duszy. Twarz moja ironią cudnych, uroczystych marzeń, ból niedostępnym, wiernym towarzyszem. – Szalona marzycielko! [...]. [...] odpowiedzią na wyrazy gorących marzeń chłodny śmiech świata realizmu i materii. [D1, 397 (1866)]

– pisała nazywając swe życie ciasnym „jak klatka dla ptaszyny”, w której zamknięto istotę z „duszą ognistą, z nieukojonym pragnieniem ideału” (D1, 483 (1875)). W przyptywach goryczy widziała świat współczesny jako obojętny i okrutny, w którym „głupcy, gęsi, lalki, kokietki, nieuczciwi i nikczemni górą – szlachetnym, myślącym i czującym głębiej, biada! Niech giną, kiedy tacy szaleni” (D1, 526 (1876)). Pojawiało się uczucie niespełnienia: życie Zofii miało być „miłością i harmonią”, stało się zaś „bolem i walką nieustanną” (D1, 601 (1880)).

Ironiczna nieprzystawalność świata chrześcijańskiego i patriotycznego ideału do świata realnego, katechizmowej wiary i etyki do brzydoty i niemoralności stosunków pomiędzy ludźmi, własna nieprzystawalność do płaskiej i małej codzienności rodziły skargę („Tak mi źle na świecie”, D1, 603 (1880)), ale także bunt i potrzebę określenia się wkraczającej w wiek dojrzały Zofii. To właśnie bunt: przeciw Bogu („Po co się modlić, prosić, kiedy mię Bóg nigdy nie wysłuchał?”, D1, 712 (1887)), przeciw niezgodnemu z ideałami życiu, przeciw własnemu losowi („Jestem wszystkim, czym mi ciężko być, a nie, czym pragnę”, D1, 631 (1882)), przeciw boleśnie przeżywanej samotności, przeciw niezrozumieniu przez innych jej „wiecznie młodej duszy” – powoduje, że Romanowiczówna, dochodząc do samopoznania, określa swój status społeczny i kulturowy. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych wiedziała już, że nie wejdzie na drogę wybraną przez Wandę Dybowską, przyjaciółkę z pensji Felicji Wasilewskiej, współzałożycielkę Stowarzyszenia Klaudynek. Wanda w r. 1866 wyszła za mąż za Franciszka Longchamps, jednego z najwytrwalszych i najtwardszych uczestników partyzanckiej wojny z 1863 roku. Odtąd dzieliła z nim życie, do czasu materialnie nieustabilizowane, połączone z wieloma przenosinami: Franciszek był kolejno naczelnikiem stacji kolejowych w Łużanach i w Kołomyi, urzędnikiem w Krakowie, przedsiębiorcą naftowym na wsi karpackiej Rypne i w Drohobyczu. Po „spensjonowaniu” (czyli przejściu Franciszka na emeryturę) rodzina zamieszkała we własnym domu w Ławocznem. Wanda w dobranym małżeństwie wychowywała pięcioro dzieci w poszanowaniu cnót chrześcijańskich, w kręgu romantycznych lektur i deklamacji, wśród opowieści z dziejów ojczystych, ucząc (jak pisał jej syn<sup>10</sup>) Sprawę uważać za cel

<sup>10</sup> Longchamps de Berier, *op. cit.*, s. 33.

główny. Pozostała wierna inteligenckiej misji kształtowania polskiego życia narodowego, napisała „w języku ruskim” dla chłopów opowiadania z historii polskiej, ogłosiła drukiem *Listy do syna o obowiązkach młodzieży polskiej*<sup>11</sup>. W ostatnich kilkunastu miesiącach życia (które przypadły na początek pierwszej wojny światowej) – jak pisze syn –

myśl o przyszłości narodu i losach wolnej Polski, która od dzieciennych jeszcze jej lat tak zawsze dominowała w jej duszy, teraz może jeszcze więcej niż kiedykolwiek zajmowała jej umysł, poruszała serce. W pozostawionej na chwilę otwartej książce do nabożeństwa, spostrzegłem żółkniętą kartę z pisaną dziewczęcym pismem modlitwą Klaudynek za Polskę<sup>12</sup>.

Umarła w październiku 1915 w niezłomnym przekonaniu, że wojna, której dożyła, to wojna, o którą modlił się Mickiewicz, po której „Polska będzie”.

Wanda i dom Longchampsów były dla Zofii Romanowiczówny potwierdzeniem jej wyobrażeń o życiu rodzinnym, o wzajemnym zaufaniu i harmonii, o człowieczym spełnieniu się w życiu dla siebie i dla innych. Gdy zagościła u nich w Kołomyi (1887), poczuła się w „swoim żywiole” wśród dobranych i licznych książek, dobrej muzyki Beethovena, Mendelssohna, Chopina oraz „pocziwych melodii narodowych”, gdy mogła spędzać czas na rozmowach nie o „próżnostkach” i plotkach, lecz o sprawach publicznych, lekturach, sztuce, przyszłości, „rzeczach szlachetnych” (D1, 693 (1887)). Zofia jednak nie chciała zostać bratową Wandy. Swatana (w 1878 r.) z Mieczysławem Dybowskiem<sup>13</sup>, odrzuciła jego małżeńską ofertę. Był on zapewne starszym już panem (zmarł w r. 1881), pozbawionym oka i oszpeconym ospą, odznaczał się jednak (jak zapisała Romanowiczówna) dobrocią, prawością, delikatnością uczuć, rozumem i wykształceniem (D1, 558 (1878)). Zapewne mogła z Mieczysławem założyć dom, może i rodzinę, wychowana jednak w romantycznej kulturze, wymagała wzajemnej wielkiej i serdecznej miłości, tej zaś w sobie nie odczuła. Domowe i rodzinne życie za cenę podporządkowania się i rozsądnej rachuby: to było Zofii całkowicie obce.

Obca też była droga, którą wybrała Henryka Sturmówna, inna przyjaciółka z pensji pani Wasilewskiej-Boberskiej, współzałożycielka dziewczęcej kasy oszczędności i funduszu stypendialnego dla chłopskich dzieci, współinicjatorka listu do Kraszewskiego (D1, 213 (1862))<sup>14</sup>. Ukochana „Dyśka” jeszcze przed powstaniem styczniowym podjęła decyzję pójścia do klasztoru, by ostatecznie wiosną 1866 przywdziać habit niepokalanki. Odwiedziny u Dyśki w Jazłowcu przyniosły Zofii „wśród tych siostr białych, w tej jakiejś woni czystości i pogody kilka dni pięknych jak marzenie, cichych, błogich, świętych” (D1, 419 (1867)), nie przyniosły jednak chęci zatrześnięcia za sobą furty klasztornej. Kiedyś tam, w momencie załamania i rozterki, zapisała, co prawda, Zofia marzenie o „Jazłowcu, a może Ameryce?” (D1, 450 (1868)), zawsze jednak przeważała chęć czynnego uczestnictwa w życiu.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych życie Zofii i życie wokół Zofii zaczęło

<sup>11</sup> Zob. *ibidem*, s. 140.

<sup>12</sup> *Ibidem*, s. 330.

<sup>13</sup> W dziennikach występuje on jako Mieczysław lub Mieczysław D. Z tekstu wynika, że to brat Wandy, gdyż Romanowiczówna pisała: „Wanda mego szczęścia nie mniej pragnie, jak szczęścia swego brata” (D1, 562 (1878)), po jego śmierci zaś: „biedna Wandzia, ona go tak kochała” (D1, 619 (1881)).

<sup>14</sup> Toż opowiedziane w *Cieniach* (D2, 494–495 (Aneks)).

się zmieniać. Po latach prywatnego uczenia w znajomych domach i przychodzących do mieszkania Romanowiczów znajomych „dziewczątek” panna Zofia zdecydowała się na zdanie egzaminu nauczycielskiego i stanie się kwalifikowaną nauczycielką. Umożliwiła to reforma szkolnictwa galicyjskiego po 1867 roku. Wcześniej Romanowiczówna była nauczycielką-dyletantką, podejmująca się ogólnego kształcenia podopiecznych (jak ukochanej Genusi Wildówny), uczenia ich języków obcych bez należytej czynnej ich znajomości (co zarzuciła kiedyś Zofii „mamunia”), nawet gry na fortepianie. Zmuszona materialnymi okolicznościami, nie traktowała początkowo nauczycielstwa jako zawodu ani – tym bardziej – jako zadania życiowego nadającego sens egzystencji. Zadaniem życiowym, więcej: posłannictwem, było – do czasu – doskonalenia się duchowe i wyrabianie w sobie cnót przyjaźni, miłości, wierności i altruizmu, stałe kształcenie się i poszerzanie horyzontów przez lektury i uczestnictwo w życiu kulturalnym (teatr, koncerty, odczyty). A wszystko w imię Sprawy, a więc czynnej miłości ojczyzny, w imię poświęcenia się w walce o wolność i niepodległość Polski, walce poprzedzonej tworzeniem świadomej narodowo, demokratycznej, oświeconej społeczności (w wyniku aktywności tych, którzy już posiadli wykształcenie i patriotyzm). W latach przed powstaniem styczniowym panna Zofia, w zgodzie z duchowymi prądami epoki – podjęła misję inteligencji (wpisaną chociażby w program lwowskiego „Dziennika Literackiego”) w dziele tworzenia nowoczesnej społeczności polskiej, gotowej do uniesienia brzemienia suwerenności i samodzielności<sup>15</sup>. W latach popowstaniowych z misją zrównała się wysoko ceniona fachowość, świadome wykorzystywanie wiedzy i umiejętności w pracy zawodowej, która odtąd była podstawowym źródłem utrzymania. Dla Zofii stało się oczywiste, że praca nauczycielska może być wypełnianiem misji i że wybór zawodu, samodzielnej pracy przynoszącej zarobek, jest drogą równą tym, które wybrały przyjaciółki: drodze wiernej ideałom młodości dobrej żony i matki, Wandy Longchamps, i drodze Dyśki Sturmówny poddanej regule zbiorowego życia zakonnego. Zapisła:

grzechem moim był b r a k s p e c j a l n o ś c i, [...] zawsze uczuciem, myślą, pragnieniami obejmowałam tysiące rzeczy, więc żadnej nie dopełniałam porządnie. Kochałam wszystko, czytałam wszystko i nic, bo może gruntownie nie umiem nic. [D1, 399 (1866)]

Konsekwencją krytycznego samookreślenia stał się wybór nauczycielstwa jako zawodu. Romanowiczówna postanowiła „uczyć się samej, do lekcji starannie się przygotowywać, myśleć nad nimi, zrobić sobie z tego powołanie i dawać trochę nauki dzieciom” (D1, 399 (1866)). Ukoronowaniem postanowień było zdanie egzaminu nauczycielskiego; po wielkim napięciu i długich przygotowaniach Zofia usłyszała wtedy „same pochwały i uniesienia”. Było to dla niej niezwykle ważne jako dla osoby niezmiernie wrażliwej zarówno na wszelkie krzywdy dnia codziennego i słowa krytyki, jak i na pochwały, które „mimożę” (jak nazwało ją grono znajomych) podnosiły na duchu i zachęcały do działania jako „pedagoginię”<sup>16</sup>. Dalej wcale nie było łatwo, bo mimo uzyskania uprawnień do uczenia w wyższych

<sup>15</sup> Poruszyłam tę sprawę w rozprawie doktorskiej (1962) poświęconej grupie pisarzy lwowskiego „Dziennika Literackiego” w latach 1857–1864, a także w pracy: *Między romantyzmem a pozytywizmem. O grupie lwowskiego „Dziennika Literackiego” w latach 1856–1870*. „Miscellanea Łódzkie” 1990, nr 1. Przedruk w zb.: *Literatura południa wieku*. Red. J. Maciejewski. Warszawa 1992.

<sup>16</sup> Jest to znamieny dla usamodzielniającej się kobiety neologizm (D1, 491 (1875)).



klasach szkoły elementarnej Zofia nie od razu została zatrudniona zgodnie z kwalifikacjami. Po odrzuceniu propozycji uczenia w 4-klasowej szkole ludowej „na żydowskim przedmieściu” przez kilka lat pozostawała na praktyce w Szkole Żeńskiej PP. Benedyktynok ormiańskich i jako nauczycielka w prywatnych szkołach Wasilewskiej-Boberskiej i Wiktorii Niedziałkowskiej.

Dopiero protekcja znajomych zapewniła Zofii pracę w nowo otwartej Miejskiej Szkole Wydziałowej Żeńskiej im. Królowej Jadwigi podlegającej Radzie Szkolnej Krajowej i obejmującej klasy od V do VIII (później VII) szkoły elementarnej<sup>17</sup>. W roku 1880 Romanowiczówna została mianowana starszą nauczycielką z pensją 900 zł; przy odbiorze dekretu mianowania złożyła przysięgę „wiernego pełnienia obowiązków, posłuszeństwa władzom itp.”, która była dla niej przysięgą złożoną nie tylko ludziom, ale i Bogu: „Jakże teraz muszę pracować, żeby jej święcie dopełnić” (D1, 594 (1880)). Czekają na nią odtąd (aż do r. 1906, kiedy przeszła na emeryturę) dole i niedole nauczycielskiego życia. Należały do nich różnie układające się relacje z gronem pedagogicznym (żeńskim, z wyjątkiem księży katechetów) i kolejnymi dyrektorami (zawsze mężczyznami!); kłopoty ze zdrowiem, powracające „nerwowe migreny”, bóle gardła i chrypki, coraz częściej zmuszające Zofię do brania urlopów w ciągu roku szkolnego; uciążliwości płynące z nadmiernego obciążenia godzinami lekcyjnymi, wczesnego rozpoczynania zajęć, męczących dyżurów na korytarzach, poprawiania „nieznośnych zeszytów”, presji dyrekcji, by nieuki przepuszczać, „bo byłoby za wiele d w ó j e k”, złych warunków uczenia: „klasy ciasne i brzydkie, brak korytarzy na przerwy, brak powietrza, a z ulicy terkot straszliwy – albo się dusimy, albo się nie słyszymy wcale” – pisała Zofia (D1, 661 (1885)).

Zgodnie jednak z podjętą decyzją szkoła stanowiła życie Romanowiczówny, tu zaś ważne były przede wszystkim uczennice skupione w ponad 40-, a nawet ponad 50-osobowych klasach, przedmiot zmartwień i zadowolenia, smutków i radości. Pisała o nich Zofia „Dziecięta biedne, prawie same dzieci woźnych, stróżów, konduktorów itp., zdolności ani inteligencji większej nie widzę, ale chętne, posłuszne i, oprócz paru, takie niewinne, takie dziecięce” (D2, 168 (1901))<sup>18</sup>; nazywała je „bębenkami”, „nieuczkami”, „osiołkami” i „diabełkami”, narzekała, gdy zdarzyła się „zbieranina” nie chcąca się uczyć i właściwie zachowywać, ale cieszyła się postęпами wychowanek w nauce, objawami patriotyzmu, symptomami kultury i obycia. „W a r t o żyć, gdy mię te dzieci otoczyły” – zanotowała po śmierci matki (D1, 706 (1887)), w kilka lat później tworząc w dziennikach barwny obrazek z życia szkolnego, przedstawiający dzień jej imienin.

Coś pięć bębenków recytuje mi powinszowania i oddaje pisane z różowymi i niebieskimi wstążkami, 4 bukiety, parę hiacyntów i niewielką, ale ładną palmę – ślicznie. Moja miła Zońcia Mań(kowska) przemawia w imieniu klasy, to jeszcze ładniej [...], wśród tego jednej z bębenków robi się niedobrze i dostaje wymiotów w klasie. Okropność. [...] kiedy pozwoiliłam im się trochę bawić, trwa tak niesforna wrzawa, że mię najokropniej głowa rozboliwa. [D2, 102 (1893)]

Nic dodać, nic ująć: kwintesencja życia nauczycielki. Życia jednak, które przez świadomy wybór zawodu zrównanego ze szlachetną, inteligencką misją było sensowne, wypełnione użytecznymi pracami.

<sup>17</sup> O systemie szkolnym w Galicji zob. R. Wroczyński, *Dzieje oświaty polskiej 1795–1945*. Warszawa 1987, s. 209–244.

<sup>18</sup> Poprawiam błędne odczytanie „ważnych” na „woźnych”.

O zmarłej w r. 1905 koleżance napisała Zofia: „ona biedna, stara panna, bez rodziców, bez domu... nikomu nawet sercem nie była bardzo potrzebna” (D2, 185 (1905)), jakby przeciwstawiając swoje życie – życiu tamtej. Decydując się na samotne życie Romanowiczówna wybrała drogę trudną, bez oparcia w rodzinie czy w zgromadzeniu zakonnym, ale wypełnioną celowymi działaniami, które sprawiły, że czuła się (i była) samodzielna, wytrwała i aktywną kobietą. Pora powiedzieć to wyraźnie: z romantycznej dziewczyny-aniola Zofia przeobraziła się w emancypantkę.

Uczenie w szkole nie wyczerpywało zakresu jej działań, choć stanowiło podstawę utrzymania. Zofia podejmowała szereg zajęć i działań społecznych, bezinteresownych, dających wymierne konsekwencje w życiu zbiorowym, jej zaś radość z realizacji. Potwierdzenia słuszności swych wyborów szukała Romanowiczówna wśród współczesnych jej, poznanych osobiście lub z lektur, samodzielnych i twórczych kobiet. Wysoko ceniła Narcyzę Żmichowską, Marię Ilnicką, Elżę Orzeszkową. Zachwyciła się talentem Marii Bartusówny, nauczycielki i poetki. Jednak „doskonałą, świętą, mądrą, najszlachetniejszą i nieporównaną” (D2, 23 (1889)) była dla niej zawsze Felicja Wasilewska-Boberska, założycielka i przełożona zakładu wychowawczego dla panien we Lwowie, czynna popularyzatorka literatury i historii polskiej, założycielka lwowskiego Stowarzyszenia Pracy Kobiet<sup>19</sup>. Zofia organizowała kolejne jubileusze przełożonej i jej szkoły, niejednokrotnie szukała u Wasilewskiej oparcia i rady, wspomżenia i siły. Po jej śmierci uznanie dla pionierskich poczynań, autorytetu moralnego i pedagogicznego dorobku przemieniła w działania. Czynnice uczestniczyła w pracach komitetu przygotowującego wydanie *Pism Boberskiej* (Lwów 1893), napisała jej życiorys (zamieszczony jako wstęp w tej edycji *Pism*), współzałożyła Fundację im. Felicji Wasilewskiej-Boberskiej, która w r. 1907 (wraz z Kołem Pań Towarzystwa Szkół Ludowych, do którego Romanowiczówna również należała) postanowiła stworzyć bursę imienia mistrzyni dla uczących się ubogich dziewcząt. Budowa ruszyła po otrzymaniu gruntu pod budynek od miasta Lwowa. Spora część dochodu z *Klasydynek* Romanowiczówny została przeznaczona na rzecz tego przedsięwzięcia. Jesienią 1912 bursa „prześliczna, wspaniała” była ukończona; 13 X poświęcił ją arcybiskup Bilczewski. Podniosłą uroczystość (poza niezbędnymi w takich wypadkach przemowami) uświetniło wykonanie przez chór uczennic *Roty* Konopnickiej-Nowowiejskiego. Pomnik upamiętniający zasługi mistrzyni Romanowiczówny został wzniesiony.

Od roku 1875 Zofia brała udział w życiu Towarzystwa Pedagogicznego i w walnych zgromadzeniach Towarzystwa. Pochlebiało jej zawieranie osobistych znajomości z tuzami ówczesnego szkolnictwa, pochlebiał szybki awans do kręgu galicyjskiej elity pedagogicznej. Bardzo też wyraźnie odczuła nieco lekceważący, paternalistyczny stosunek mężczyzn, nauczycieli na kierowniczych stanowiskach, wobec kobiet, nauczycielskich szaraczków, sprzeczności w interesach i dążeniach panów nauczycieli i pań nauczycielek, własne kłopoty z uzyskaniem stanowiska i płacy zgodnych z kwalifikacjami. Walne zgromadzenie Towarzystwa w 1894 r. było wstępem do Kongresu Pedagogów Polskich gromadzącego nauczycieli po-

<sup>19</sup> Romanowiczówna uczestniczyła w pracach Stowarzyszenia biorąc udział w organizowaniu biblioteki i w zbiórce pieniędzy na książki (D2, 104 (1893)). Na wieczorku w Stowarzyszeniu, wiosną 1882, nie czuła się dobrze, ale (jak zapisała) odważyła się deklamować (D1, 625 (1882)).

dzielonych ziem Rzeczypospolitej. Jak zapisała Zofia, odbyła się na nim walka „kobiet postępowych ze zwolennikami starego porządku” (mężczyznami!) o prawo wstępu dla kobiet na uniwersytety (D2, 127 (1894)). Dla niej samej pięknym przykładem „kobiety uczonej” była poznana wcześniej w Krynicy (1886) Teresa Cieszkiewicz, „doktor z anielską duszą, w całej swej istocie i w życiu swym idealna”<sup>20</sup>. Raziło natomiast Romanowiczównę zachowanie warszawianek, „femini-stek najczystszej wody”, kiedy w czasie towarzyszących Kongresowi rautów i obiadów nie poruszyły ani razu „struny patriotycznej” nawet przy toastach, które „wznosiły co chwila, wstając z kieliszkami, co mię także nie zachwyciło” (D2, 127 (1894)). Kongres i towarzyszące mu spotkania stały się dla Zofii okazją do poznania wielu interesujących kobiet – wymieniła wśród nich Zuzannę Morawską „znakomitą autorkę książek dla młodzieży”, Stefanię Sempołowską, „piękną, energiczną”, podobną do Sempołowskiej Helenę Skłodowską (starszą siostrę Marii Skłodowskiej-Curie), Cecylię Śniegocką, o której pisała: „najmilsza z nich, przynajmniej dla mnie”, wreszcie „zasłużoną pracownicę, wielkiego rozumu i wielkiej duszy i charakteru, czczoną przez wszystkie przodownice ich, Kasyldę Kulikowską” (D2, 128 (1894))<sup>21</sup>. Jak się wydaje, Zofia nie wykazała tu zrozumienia dla okupacyjnej specyfiki zaboru rosyjskiego; poruszenie „struny patriotycznej” we Lwowie mogło ściągnąć na warszawianki represje polityczne po powrocie. Stąd zapewne milczenie. „Męskie” zaś zachowania nie zmieniały faktu, że działania podejmowane przez samodzielne kobiety z Warszawy były zbieżne z tymi, które prowadziła Zofia w kręgu lwowskich nauczycielek. Z tym że w autonomicznej Galicji działania te wiodące do szerzenia wiedzy i oświaty, patriotyzmu i polskiej świadomości narodowej były (do pewnych granic) legalne, w zaborze rosyjskim zaś były nielegalne (bądź zagrożone delegalizacją) lub zgoła konspiracyjne. Spotkania kongresowe spoiły Zofię więzami bezpośrednich znajomości z podobnymi do niej kobietami, łączącymi uprawianie zawodu z misją „siłaczek”, torujących innym kobietom drogę do kształcenia gimnazjalnego i na uczelniach wyższych, organizujących szkoły i kursy zawodowe, stowarzyszenia samopomocy, biblioteki i wypożyczalnie, wydawanie książek i czasopism umożliwiających samokształcenie i ułatwiających emancypację.

Wieloletnim polem działalności Romanowiczówny było Stowarzyszenie Nauczycielek. Powołana w styczniu 1892 do komitetu założycielskiego, przystąpiła doń z radością, bo była to realizacja myśli, którą wcześniej „długo nosiła w duszy” (D2, 68 (1892)). Wybrana przewodniczącą Stowarzyszenia (pozostała nią do 1903 r.), odkryła w sobie energię i stanowczość. Widząc nowe cele w życiu pisała:

Nie wolno zmarnieć w bolach i żalach osobistych, gdy tyle, tyle jest do zrobienia, gdy mogę jeszcze być tak pożyteczną. Oprócz szkoły, gdzie takie pole działania, to nasze Stowarzyszenie. [...] I boję się bardzo, i miłe mi to przecie. [D2, 76–77 (1892)]

Przez lata następne organizowała odczyty i pogadanki pedagogiczne, była inicjatorką towarzyskich spotkań (m.in. bożonarodzeniowych „opłatków”), uczest-

<sup>20</sup> Teresa z Cieszkiewiczów Cieszkiewiczowa (1848–1921) była jedną z pierwszych lekarek polskich (po studiach w Szwajcarii), pionierką ruchu emancypacyjnego, społecznicą. Zob. D1, 675–676 (1886); D2, 127 (1894).

<sup>21</sup> O Kasyldzie Kulikowskiej (1841–1894), zmarłej nagle we Lwowie w kilka dni po Kongresie i pochowanej na Cmentarzu Łyczakowskim – zob. H. Duninówna, *[Fragment z pamiętników]*. W zb.: *Kufer Kasyldy, czyli wspomnienia z lat dziewczęcych*. Wybór z pamiętników XVIII–XIX w. D. Stępniewska i B. Walczyna. Wstęp i noty biograf. M. Dernałowicz. Oprac. przypisów H. Hagemejser i D. Stępniewska. Warszawa 1983, s. 339–374.

niczyła w zebraniach samokształceniowych: głośnej lekturze zapewne połączonej z analizą tekstów literackich (niegdysiejsza Lilla Weneda czytała na jednym z nich kwestie Starościny z *Powrotu posła Niemcewicza*). Pod kierownictwem Romanowiczówny Stowarzyszenie poparło kobiecą petycję o stworzenie we Lwowie żeńskiego gimnazjum (w r. 1893)<sup>22</sup> i petycję do Rady Państwa „o przyjmowanie kobiet na tutejsze uniwersytety” (D2, 135 (1895)). Po kilku latach mozolnego zbierania funduszków w r. 1902 rozpoczęto budowę domu dla nauczycielek, ukończoną w r. 1907, już po ustąpieniu Zofii z przewodniczenia Stowarzyszeniu i – po podjęciu przez nią nowej inicjatywy: budowy bursy im. Felicji Wasilewskiej-Boberskiej. Przez lata niełatwe kierowanie Stowarzyszeniem, pokonywanie trudności organizacyjnych, finansowych i – nazwijmy to tak – personalnych (z racji licznych animozji i konfliktów wśród członkiń) dostarczało Zofii wiele satysfakcji. Zapisała:

Mimo szkaradnej słoty, obrazu naszego życia... zeszło się przecież [na walne zgromadzenie] blisko 50 osób, był ład i porządek, finanse stoją doskonale i ja, mówią, że doskonale przewodniczyłam [...]. Potem ulga, że to już dokonane, i cisza, i pogoda. [D2, 99–100 (1893)]

Pod okiem i ręką Zofii dokonywała się konsolidacja zawodowego środowiska „pedagogiń”, które coraz liczniej i coraz śmielej wchodziły w regiony dotąd dostępne tylko mężczyznom. Dla Zofii wydarzeniem znaczącym było „wdarcie się” na uroczystość ku czci weteranów powstania listopadowego w Kasynie Obywatelskim, do którego kobiety dotąd nie miały wstępu (D1, 608 (1880)). Z dumą odnotowała „bardzo grzecznie i pochlebnie wystylizowane zaproszenie od redakcji »Szkole« do wzięcia udziału w wydaniu pamiątkowego numeru poświęconego wyłącznie czci i pamięci wieszczki [Adama Mickiewicza], a to przez metodyczne opracowanie któregoś z jego utworów”.

Opracowałam *Stepy akermzańskie* – podałam to z nieśmiałością i przypuszczałam, że może odrzuca – tymczasem nie tylko wydrukowali, ale widzę, że jestem jedyną kobietą wśród dość słynnych piór męskich. [D2, 46 (1890)]<sup>23</sup>

Niegdysiejsze marzenie o staniu się Platerówną, kobietą-żołnierzem, zrównaną odwagą i hartem z mężczyznami, zrealizowało się na polu oświaty i wiedzy, zrównania intelektualnego. Konsekwentnie o śmierci jednej z wybitnych koleżanek nauczycielek napisała Romanowiczówna tak, jakby zestawiała ją z Emilią Plater: „Umarła nagle, jak żołnierz na posterunku. A t w a r d e i ogromne miała zadanie życiowe! Padła na godzinie w szkole, na udar mózgu” (D2, 207 (1908)).

Patriotyczna postawa Zofii konkretyzowała się w udziale w różnorakich (szkolnych, pozaszkolnych) obchodach „ku czci” i „w rocznicę”. Zabiegała o patriotyczne wychowanie uczennic, chroniła je przed wiernopoddańczym, proaustriackim lojalizmem. „Moje patriotki maleńkie!” – pisała o nich z rozczuleniem oceniając ich stronę moralną (D2, 28 (1889)).

<sup>22</sup> Przygotowaniem dziewcząt w zakresie wiedzy gimnazjalnej do matury zajmowały się wcześniej prywatne szkoły, m.in. zakład naukowy dla panien prowadzony przez Marię Bielską, w którym Romanowiczówna miała wykłady z estetyki i literatury polskiej (1893).

<sup>23</sup> Wydawca dzienników przedrukował w *Aneksie* (D2, 530–533) to *Metodyczne opracowanie sonetu Mickiewicza „Stepy akermzańskie” w VII klasie szkoły wydziałowej żeńskiej*. Ukazało się ono w „Szkole”, organie Towarzystwa Pedagogicznego (1890, nr 277), wraz z artykułami K. Rome-ra, H. Biegeleisena, W. Krasuckiego, F. Próchnickiego.

W dziennikach pozostały zapiski o tworzeniu się (z udziałem Zofii) nielegalnych lub zgoła konspiracyjnych kółek i stowarzyszeń mających za cel utrzymanie niezależnego „ducha narodowego”, materialne wspomaganie emigracyjnych instytucji i ubogich polskich emigrantów, zachowanie polskości na Śląsku. Aktywność Zofii – wówczas już przeszło 70-letniej – eksplodowała z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej. „Płonie mi dusza” – pisała w pierwszych dniach wojny (D2, 251 (1914)), formułując dalej trzy główne życzenia dotyczące jej przebiegu i zakończenia:

niepodległość Polski, choćby zrazu jeszcze nie „od morza do morza”, – pokój, bo o tej mordowni myśleć nie mogę bez bólu – i szczęśliwy powrót tak z boju, jak i z tułaczki wszystkich, których kocham, i tych, którzy mię serdeczniej obchodzą. [D2, 260 (1915)]

Przerażona gwałtownością i okrucieństwem wojny, ale i podniesiona na duchu pracą i ofiarnością publiczną, przyjęła z radością powstanie Naczelnego Komitetu Narodowego jako organu reprezentującego wolną Polskę. Gdy Komitet „wezwał do równorzędnej pracy kobiety” (w lipcu 1915), Zofia – na prośbę „gromna pań” – objęła przewodnictwo lwowskiego oddziału Ligi (była przewodniczącą do połowy r. 1919), po raz kolejny przełamując nieśmiałość i niechęć do publicznych wystąpień i zyskując satysfakcję z racji okazywanej jej sympatii ludzi oraz przekonania o użyteczności pracy. W dniu 17 VIII 1916 Zofia, admiratorka Józefa Piłsudskiego, przyjmowała „Litwinę” w siedzibie Ligi, uczestniczyła w dramatycznym przedstawieniu *Halki* z manifestacją przez powstanie na jego cześć, wreszcie w pozowaniu do wspólnej fotografii (może się gdzieś zachowała?), o czym napisała z dystansem wobec siebie samej:

Ja dostałam tego zaszczytu, że umieszczono mię koło Niego – no, jako przewodniczącą Ligi, ale to tak niezasłużone, że mię aż bołało ze wstydu. Chciałam uciec – przytrzymało mię za rękę. [D2, 268 (1916)]

W lutym 1918 przez Lwów przeszła fala manifestacji na rzecz samoistnej i niepodległej Polski, stanowiącej o swym losie, niezależnej od politycznych decyzji rządów zaborczych, odtworzonej w historycznych granicach<sup>24</sup>. Romanowiczówna uczestniczyła w wielkim wiecu lwowianek w sali Ratusza i na jego dziedzińcu, wcześniej biorąc udział w pochodzie ogromnego tłumu przez ulice Lwowa. Ten udział ma niewątpliwie wymiar symboliczny. Starzejąc się, nie rozstajemy się przecież z naszą młodością. Zofia idąca w gronie pań z Ligi na czele organizującego się pochodu, za sztandarem i transparentami, była sobą od pierwszych patriotycznych wzruszeń i przeżyć, przez codzienną „mrowczą” pracę oświatową łączącą profesjonalność z misją kształtowania nowych pokoleń Polaków, uczestniczką powstańczej konspiracji i emancypantką świadomą potrzeb i praw kobiet. Oto z jej współdziałania rodziła się w wielkim patriotycznym uniesieniu niepodległa Polska.

W trakcie życia Zofii Romanowiczówny obróciło się kilka kart polskiej (i europejskiej) historii. Od wydarzeń poprzedzających wybuch powstania i powstanie

<sup>24</sup> Manifestacje na rzecz suwerennej Polski i polskiego Lwowa były wynikiem traktatu pokojowego, który rząd austriacki zawarł z nowo powstałym (i hybrydycznym) rządem Rzeczypospolitej Ukraińskiej, przyznając jej część ziem należących przed rozbiorem do Rzeczypospolitej Obojga Narodów.



styczniowe, poprzez stopniowy rozkład wielkiego państwa Europy Środkowej – monarchii austro-węgierskiej, aż po pierwszą wojnę światową. Potem walki z Ukraińcami o polski Lwów, najazd bolszewicki, dramatyczne przemiany w odrodzonej Polsce – aż po przewrót majowy. Świadomość życia w historii, uczestniczenia w historii i dawania świadectwa historii skonkretyzowała się w Zofii na początku w. XX, gdy po raz pierwszy napisała ona o potrzebie zachowania dzienników ze względu na istniejące w nich „rzeczy godne pamięci i utrwalenia” (D2, 172 (1902)), powracając do projektu ich opracowania (i autoocenzurowania) w latach następnych i istotnie dokonując licznych cięć i zamazań partii tekstu<sup>25</sup>. Zapisała:

pali mię i trawi pragnienie zostawienia czegoś po sobie, żeby moje życie, które było tak niezwykłe, nie zgasło bez śladu, zagrzebane wraz ze mną pod ziemią. Takie mam skarbki w listach, pamiętkach, fotografiach, w zbiorach – i w tym *Dzienniku*, i w obu *Pamiętnikach* moich, zwłaszcza w prześlicznym pierwszym z młodych lat. Ale to wszystko, nim przejdzie do Ossolineum, a po części w prywatne ręce, musi być przejrzane, przebrane i uporządkowane. [D2, 317 (1919)]

O Mieczysławie Romanowskim rozmawiała z pisarzem Juliuszem Germanem (1880–1953) w trakcie pisania przezeń dramatu o poecie-powstańcu pt. *Mściciel* (1908). Gustawowi Baumfeldowi przesłała wiadomości o Romanowskim i pozwoliła na prośbę badacza obfotografować popiersie poety dłuta Filippiego<sup>26</sup>. Henrykowi Biegeleisenowi przekazała wspomnienia i wiadomości o Ujejskim<sup>27</sup> (ze znacznej ich części skorzystał wcześniej Kazimierz Wróblewski<sup>28</sup>). Do „Lamusy” przesłała Zofia wiersze Pola, Ujejskiego, Szujskiego i Asnyka ze swego panińskiego sztambucha<sup>29</sup>. Z Bronisławem Czarnikiem, kustoszem Ossolineum, przejrziała wspólnie „bardzo dużo [...] [swoich] rzeczy, skarbów [...] [swoich]” (D2, 274 (1916)) i przekazała do Zakładu listy Lenartowicza. Zachęcona przez kustosza, zgodnie z wcześniejszym zamiarem, zebrała rodzinne listy Tadeusza Romanowicza i spisała wspomnienia o bracie<sup>30</sup>. Uznanie czytelników dla życiorysu Felicji Wasilewskiej-Boberskiej skłoniło Romanowiczównę do dalszego pisania. Najpierw były to *Klaudynki. Z dziejów patriotycznej pracy kobiet* (Lwów 1913, właśc.: 1912), dalej *Kartki z dziennika młodej dziewczyny* („Kurier Lwowski” 1912) i *Czy pamiętam?* („Kronika Powszechna” 1913), wywołane falą wspomnień o patriotycznym zrywie przelomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX w. w związku z obchodami 50 rocznicy powstania styczniowego<sup>31</sup>. Na życzenie Stanisława Wasylewskiego powstał *Pierwszy mazur z Grottgerem*, umieszczony przez niego w tomie zbiorowym *Opowieści dziewczęce. Ustępy z pamiętników młodych panien (1776–1866)* (Lwów 1920)<sup>32</sup>. W roku 1928 zaczęły ukazywać się w „Gazecie

<sup>25</sup> Zob. *Notę edytorską* w D2, 582–585.

<sup>26</sup> Zob. G. Baumfeld: *Mieczysław Romanowski. Rys historycznoliteracki*. „Prawda” 1907, nry 22–26; *Mieczysław Romanowski. Studium ideowe i literackie*. Warszawa 1908.

<sup>27</sup> Zamierzona praca Biegeleisena o Ujejskim nie ukazała się. Przypadły też informacje udzielone przez Romanowiczównę Franciszkowi Bostelowi, dotyczące Asnyka i Władysława Łozińskiego.

<sup>28</sup> K. Wróblewski, *Kornel Ujejski. 1823–1893. Zarys biograficznoliteracki*. Lwów 1902.

<sup>29</sup> „Lamus” 1909, z. 4 (jesień). Przedruk w: D2, 572–574 (*Aneks*).

<sup>30</sup> Romanowiczówna, *Tadeusz Romanowicz*.

<sup>31</sup> W roku 1913 Romanowiczówna stała się „weteranką powstania”, wielce szanowaną i honorowaną w trakcie uroczystości rocznicowych – zob. D2, 237–240 (1913).

<sup>32</sup> Romanowiczówna miała też udział w powstaniu książki *Arthur i Wanda* M. Wolskiej i M. Pawlikowskiego (t. 1–2. Lwów 1928).

Lwowskiej” wspomnienia, które w ładnym, ossolińskim wydaniu wyszły w r. 1930 (z ciepłym i pełnym pochwał wstępem Maryli Wolskiej)<sup>33</sup>.

To wspomniany już Stanisław Wasylewski, pisarz, eseista, historyk obyczajów, a prywatnie wnuk przyjaciół Zofii Romanowiczówny od wczesnej młodości: Klementyny z Wasilewskich i Juliusza Starklów, okazał się „darem dobrym od Boga”. To za jego namową i (zapewne) pod jego kierunkiem Zofia sporządziła wykaz posiadanych rękopiśmiennych i drukowanych „pamiętek”, spisała niektóre wspomnienia, zajęła się opracowaniem dzienników i wydała dyspozycje dotyczące losów „skarbów” po jej śmierci. Dzięki zrozumieniu dziejowej ważności prywatnych dokumentów, dzięki rozeznaniu w randze i znaczeniu poznanych (często z osobistej inicjatywy) ludzi<sup>34</sup>, dzięki świadomości historycznej wagi przeżywanego wydarzenia Zofia Romanowiczówna była nie tylko „świadkiem epoki”, ale także współtwórczynią jej obrazu<sup>35</sup>.

Zdawałoby się: życie spełnione. Ale między zewnętrznym, „obiektywnym” biegiem tego życia, biegiem wyznaczonym faktami, wydarzeniami i czynnościami o charakterze – nazwijmy to tak – społecznym, a wewnętrznymi przeżyciami i odczuciami Zofii istniała wyraźna granica. Granica ta rysowała się również na polu życia codziennego: tego prowadzonego publicznie, znaczonego osiągnięciami, i domowego, pełnego kłopotów i trosk, nadziei i zawodów. Stałymi towarzyszami Zofii były bowiem samotność i ubóstwo. Łączyło się z nimi często poczucie bezradności i zagubienia. Zofia uczyła się samodzielności i aktywności: pokonywała lęk przed podróżą, samotną drogą na dworzec i oczekiwaniem w poczekalni, złe samopoczucie w czasie jazdy pociągiem, pokonywała trud samodzielnego pakowania kufra. Coraz bardziej zaradna, szukała jednak stale wsparcia, współczucia i przyjaźni, tak ze względu na potrzeby intelektualne i emocjonalne, jak w codziennych kłopotach ze złymi i zuchwałymi służącymi, z pokaleczoną w wyniku upadku nogą czy z nosem rozbitym przez nieuważny ruch. Tracąca wzrok Zofia potrzebowała lektorów, ci zaś (uczennice, znajome, przyjaciółki) coraz częściej zawodzili. Szukała, wciąż romantycznie, pokrewnych dusz, nawiązywała – najczęściej nietrwale i zawodne – egzaltowane przyjaźnie. Tak było (to znamienny przykład) z Ludwikiem Eminowiczem, jednym z wielu Eminowiczów spokrewnionych i spowinowaconych z Romanowiczówną, „bratankiem” (jak pisała), którego pokochała z właściwym sobie nadmiarem uczucia i w którym zobaczyła opiekuna, powiernika i spadkobiercę. Niewątpliwy dla Zofii romans pokrewnych dusz był (jak się wydaje) dla Ludwika tylko wygodną znajomością z daleką ciotką, u której – przyjezdny spoza Lwowa – zostawił jakiś swój kuferek i... zaciągnął

<sup>33</sup> Romanowiczówna, *Cienie*. Przedruk fragmentów oraz *Pierwszego mazura* w D2, 480–511, 526–528 (*Aneks*).

<sup>34</sup> To napisany wcześniej list ułatwił nawiązanie bezpośredniej znajomości z Kraszewskim, to zainicjowanie korespondencji wywołało wymianę listów z Lenartowiczem, to stałe uznanie i cześć Zofii wobec wybitnego poety sprawiły, że kontakty z Ujejskim trwały do końca jego życia. Przykładów jest więcej.

<sup>35</sup> Do beczki miodu dodajmy i łyżkę dziegciu: zdanie S. Wasylewskiego (*Czterdzieści lat powodzenia*. Wrocław 1959, s. 286) o *Cieniach* Romanowiczówny: „Uległa posłusznie mej sugestii, spisała tom nieduży wspomnień osobistych o ludziach i sprawach wybitnych, często zbyt idealistycznie, naiwnie nawet ujmujących epokę biedermajera polskiego i jej obyczaj nad Peltwią”.

pożyczkę. Zawiedzione nadzieje z nim związane stały się dla Zofii źródłem cierpienia<sup>36</sup>.

„Ciasnym, powszednim, czysto realnym życiem ja żyć nie mogę, nie mogę! Mnie trzeba lotu, mnie trzeba atmosfery płomienniejszej i bardziej świetlanej” (D2, 56 (1891)) – pisała Romanowiczówna wśród ciągłych kłopotów materialnych, dotkliwych zawsze, ale najbardziej dotkliwych w latach pierwszej wojny światowej i nadeszłych po niej czasach kryzysu i inflacji. Stałe obcowanie z „rzeczami małymi, a koniecznymi” potęgowało świadomość nieprzystawalności życia realnego i idealnego. „Wolę taniec niż chód, wolę suknię lekką i jasną z kwiatami niż codzienną, grubą i ciemną, wolę tony muzyki, choćby tylko balowej, i światła, i kwiaty niż nudę regulek i zadań” (D1, 573 (1879)) – deklarowała u początku kariery zawodowej, z biegiem lat coraz bardziej wtopiona w „*les petites misères de la vie*”. Wzrostu kosztów życia nie wyrównał dodatek drożyzniany do emerytury (1918), a następnie jej podwojenie (1919), otrzymanie pensji rocznej dla weteranów 1863 r. i deputat żywnościowy po znizonych cenach (1920). „Jestem obdarta w sukniach i bieliźnie, w domowych porządkach szkaradne braki na każdym kroku, z żywieniem się głowa pęka, co robić, zwłaszcza ze służącą” – żaliła się w r. 1922 (D2, 356), podejmując jednocześnie mocne postanowienie: „nie dam się” – i do końca życia trwając niezależnie we własnym mieszkanku, wśród starych mebli, książek i bibelotów<sup>37</sup>.

Starej kobiecie żyć było coraz trudniej, bo zmieniał się świat i zmieniali się ludzie. Romanowiczówna dzielnie dotrzymywała kroku swoim czasom. Wierna romantycznym fascynacjom, czytała z uznaniem Orzeszkową i Sienkiewicza. Zachwycała się poezją Tetmajera (od 1891) i tomikiem Franciszka Siły-Nowickiego (1891), przeczytała krytycznie przynajmniej pierwszy tom „Chimery” (1901). Odwiedzała wystawy (w tym – oczywiście! – pierwszą wystawę krajową we Lwowie i *Panoramę raclawicką* (1894)), bywała w teatrze i w operze, na koncertach i okolicznościowych akademiach.

Żyła polityką, opłakiwała poległych i zamordowanych w wojnach synów i wnuków swych przyjaciół i znajomych, witała wstępujących po szczeblach kariery politycznej (jak Ignacy Mościcki), umysłowej (jak Stanisław Wasylewski), artystycznej (jak Beata Obertyńska). Emocjonalnie i intelektualnie otwarta na to, co nowe, trwała jednocześnie w przekonaniu, że dawne czasy były lepsze. „Czemu ja nie żyłam w epoce filaretów? czemu duch 61–64 roku zgasł? – Z dzisiejszym po-

<sup>36</sup> Ludwik Eminowicz (1880–1946), nauczyciel gimnazjalny, po odzyskaniu niepodległości – naczelnik wydziału w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, był tłumaczem (m.in. *Dia-blich eliksirów* E. T. A. Hoffmanna) i poetą młodopolskim drukującym wiersze w „Chimerze”, „Krytyce”, „Maskach”, „Museionie”, autorem poematów (zob. biogram w: A. Hutnikiewicz, *Młoda Polska*. Warszawa 1999, s. 428). Nie został rozpoznany przez wydawcę dzienników Romanowiczówny. W *Indeksie nazwisk* figuruje dwukrotnie: jako „Emiro Ludwik” i „Ludwik [...] darzony uczuciem przez Zofię”, w *Biogramach* (D2, 407) jako „Emiro (?) Ludwik” (co jest zapewne wynikiem źle odczytanego skrótu nazwiska) i Longchamps Ludwik (D2, 425). Informacje zawarte w dziennikach zgadzają się i uzupełniają biogram L. Eminowicza w książce Hutnikiewicza, ukazują też Zofię jako subtelny i krytyczny czytelnik wierszy tego poety.

<sup>37</sup> Romanowiczówna sprzedawała (i rozdawała) resztki wyposażenia dawnego mieszkania Romanowiczów w gmachu Teatru Skarbkowskiego, w tym (jak napisała) „kopię z Paula Veronese” (D2, 330 (1920)), która według nabywcy, S. Wasylewskiego, była w istocie oryginalnym dziełem Bonifazja di Pitati, repliką *Pokłonu Trzech Króli*. O nabyciu obrazu i jego dalszych losach – zob. Wasylewski, *op. cit.*, s. 297–299, 305–306. O подарowanej przez Zofię figurce małego Napoleona – zob. *ibidem*, s. 306–307.

godzić się nie mogę! I jestem tak okropnie sama...” – zanotowała w r. 1911 (D2, 225), obca w dekadencym światu początków XX w. i zagubiona w politycznym labiryncie po wybuchu naszej niepodległości. Życie wokół niej przyspieszało, zmieniały się obyczaje, tryby powszedniego bytowania obracały się coraz szybciej.

Gdy Zofia była młoda, życie towarzyskie inteligentnych kręgów Lwowa było niezmiernie rozwinięte. Znajomi mieli czas na długotrwałe spotkania i odwiedziny, na solenne fetowanie imienin, świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, spacer i wakacyjne wycieczki. Romanowiczówna takie właśnie życie ceniła wysoko, chciała dzielić z innymi „wrażenia, przechadzki, czytania, myśli i łzy, i uśmiechy...” (D2, 29–30 (1889)). Wielokrotnie pisała o potrzebie życia w towarzystwie „duchowo wytwornym”, w którym „grają, śpiewają, mówią o książkach, o sztuce, o myślach i o dziełach...” (D2, 87 (1892)). W dziennikach często powtarzały się wyliczenia znajomych i przyjaciół, którzy – niegdyś bliscy i serdeczni – odeszli, wyjechali lub zmarli, i tych, na których sympatię, współczucie i pomoc wciąż mogła liczyć. Pokolenia dzieci i wnuków dawnych rówieśnych, które utrzymywały ze starszą panią ciepłe kontakty (jak zawsze życzliwa i uczynna Maryla Wolska, jak „Staś” Wasylewski), nie mogły jednak i już nie umiały wypełnić życia Romanowiczówny, nie mając czasu na rozbudowane towarzyskie życie, na długie odwiedziny, głośne lektury. Romanowiczówna starała się zachować dawne obyczaje: wbrew złej pogodzie i kłopotom komunikacyjnym odbywała wizyty, próbowała urządzać jakieś niedzielne lub poniedziałkowe spotkania u siebie, które by zaspokoily stałą potrzebę rozmowy po wspólnym głośnym czytaniu lub deklamacjach. (Zofia znała na pamięć około 80 wierszy i fragmentów. Wśród nich była ulubiona *Hagar na puszczy* Kornela Ujejskiego. W ostatnich latach życia chętnie czytała głośno fragmenty dzienników.) W 1919 roku Zofia zanotowała:

nikt nie ma czasu, wszyscy zakłopotani, po części goniący za interesami, a głównie za aprowizacją, po części oddani pracy zawodowej lub społecznej. I wszystkich absorbuje aktualność, nikt nie ma czasu ni ochoty oglądać się na wczoraj. [D2, 324 (1919)]

W takiej sytuacji powróciła dawna żarliwa religijność. Wspomagana modlitwami, lekturami *Nowego i Starego Testamentu* („bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi” – powtarzała za Hiobem Zofia) i umacniających w pobożnym życiu książek, wiara Zofii wyrażała się znowu (jak w młodości) rozmową z Bogiem, dążeniem do odnalezienia bezpośredniego kontaktu z Absolutem. Do świata ponadludzkiego ładu i wymiaru prowadziła, jak dawniej, poezja romantyczna, inaczej jednak dobierana niż w młodości: były to teraz wiersze religijne, liryki lozańskie, *Zdania i uwagi* Mickiewicza i późne wiersze Słowackiego. Prawie na końcu swych dziennikowych zapisków zanotowała Zofia sen, który przywracał ją młodzieńczym wyobrażeniom i marzeniom o życiu: we śnie zobaczyła siebie w ramionach ukochanego, którego słowa wypowiedziane „z nieopisaną słodyczą i miłością” wywołały „uczucie niewymownego szczęścia” (D2, 388 (1928))<sup>38</sup>. Życie dokonane – na jawie, życie niespełnione – we śnie. Zofia znakomita nauczycielka, przykład i wzór dla koleżanek i uczennic, i Zofia anielska kochanka, całe życie poszukująca wielkiej miłości

<sup>38</sup> O snach Romanowiczówny pisałam w artykule: *Sny romantycznej panny*. W zb.: *Światło w dolinie. Prace ofiarowane profesor Halinie Krukowskiej*. Red. K. Korotkich, J. Ławski, D. Zawadzka. Białystok 2007.

mężczyzny. Zofia konsekwentna emancypantka zabiegająca o godne miejsce kobiet w społeczeństwie – i wiotki powój (jak o sobie pisała) potrzebujący pewności i bezpieczeństwa w bliskości jedyne go i wybranego. Zofia działaczka niepodległościowa na czele patriotycznego pochodu – i Zofia naprawdę szczęśliwa w czułym i intymnym zbliżeniu. Oba wcielenia prawdziwe i przejmujące swą dwoistością, scalone w antynomiczną jedność nadają Zofii wielki i przejmujący ludzki wymiar.

Miała Zofia Romanowiczówna wystawny pogrzeb. Odznaczona za życia Krzyżem Niepodległości i orderem Polonia Restituta (1924), chowana była na koszt miasta Lwowa z honorami wojskowymi. Na grobowej płycie na Cmentarzu Łyczakowskim wyryto patetyczne, dwuzdaniowe epitafium: „Szła przez życie miłością. Ku szczytom prowadziła młode pokolenia”<sup>39</sup>.

Pomnik na cmentarzu odnajdzie przyjezdny z Polski. Drugi pomnik, ten wzniesiony przez Zofię jej wieloletnim trudem dokumentowania własnego życia, wyróżnił się właśnie z zasobów Ossolineum w postaci *Dziennika lwowskiego*. To wielka i wstrząsająca powieść o życiu dziewczyny – kobiety – staruszki, szukającej swego miejsca w świecie i w historii i odnajdującej je w zmieniających się czasach, obyczajach, kulturze, dzięki umiejętności przełożenia anielskiej misji na pożyteczną pracę, samotności na emancypację, mesjanistycznie pojmowanej służby Sprawie – na działanie na rzecz niepodległości Polski. Powieść o bardzo osobistych, bardzo subiektywnych, bardzo zmiennych chwilowych doznaniach i przeżyciach wyrażonych w niezmiernie szczerych słowach, okrzykach, zamilknięciach, w której przetrwała niezwykła osobowość Zofii Romanowiczówny.

#### Abstract

KRYSTYNA POKLEWSKA  
(University of Lodz)

#### “MY LIFE FLOWS IN A TWOFOLD STREAM”. ON ZOFIA ROMANOWICZÓWNA AND HER DIARIES

Zofia Romanowiczówna's *Lvov Diary (1842–1930)* prepared and edited by Zbigniew Sudolski (vol. 1–2, Warszawa 2005) is a fascinating reading. It shows a complete life track of its author, leading simultaneously through historical, political, and social transformations, psychical alternations, and changes in the way of thinking and understanding of the world. Initially, Romanowiczówna is a young girl shaped by romantic culture, who tries to fulfill her role of “angel,” a consoler, a helper, and a man's confidante. As she fails to fit any of the roles for women of the epoch (a wife, a mother, a nun, a resident at the family), Romanowiczówna maturely and deliberately chooses to work for a few dozens of years as a teacher “to earn her bread and cheese” and, at the same time, with the sense of social and national mission, she engages into women organizations of emancipation and independence. At the same time, we find records on the dreams of love and disappointment in love, wavering of the amplitude of religiousness and faith, the joy of friendship and kindness, and a bitter taste of loneliness and incomprehension. Life presented from the perspective of external events and internal sensations – this is Zofia Romanowiczówna's diary.

<sup>39</sup> Cyt. za: S. Niciej a, *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*. Wrocław 1988, s. 318.